

Piotr Zaremba: **Lubię premiery. Powrót Antygony**

Poszedłem w dniu premiery na „Antygonę” Sofoklesa do warszawskiego Ateneum. Już samo miejsce wydało mi się magiczne – teatr obchodzi 90-lecie, a ja bywam w nim od ponad 40 lat – pisze dla Teologii Politycznej Piotr Zaremba. Przeczytaj kolejny felieton w serii „Teatr według Zaremby”.

Lubię premiery, bo zawsze są świętem teatru. Oczywiście, jeśli całkowicie odrzuca mnie przedstawienie, unikam popremierowych bankietów, bo o czym wtedy rozmawiać z twórcami? Ale jeśli jest przynajmniej poprawnie, uważam, że zasługują na dobre słowo i miły gest. To zawsze są ludzie po wykonaniu ciężkiej pracy. Ileż razy obserwowałem tę euforię pomieszaną z ulgą, ale i pełnym niepokojem wyczekiwaniem: „kupili nasze dzieło czy nie?”

Poszedłem w dniu premiery na „Antygonę” Sofoklesa do warszawskiego Ateneum. Już samo miejsce wydało mi się magiczne – teatr obchodzi 90-lecie, a ja bywam w nim od ponad 40 lat. Zawsze był to teatr bardzo dobry, przed wojną wtopiony w plebejskie Powiśle, lewicujący, po wojnie autorskie dzieło Janusza Warmińskiego, który kierował nim przez 42 lata, do śmierci w 1996, zapewniając nam w PRL-u bliski kontakt z teatralnymi zachodnimi i polskimi nowinkami, czasem też z dobrą, choć zwykle tą bardziej kameralną, klasyką.

Siła archetypu

Za czasów dyrekcji Gustawa Holoubka Ateneum stał się celem ataków jako zbyt tradycyjny. Ludzie mający kłopot z teatralnym rzemiosłem, tak zwani ojcobójcy, żądali „czegoś nowego”. I palili Holoubkowi świeczki pod teatralnym budynkiem jako eksponentowi umierającej sztuki (obrzydliwe). Dziś po rozmaitych kryzysach (ostatnio z wielomiesięcznym konkursem na dyrektora) jest to teatr poprawny, nierówny, ale wyzbyty szaleństw, z wciąż bardzo dobrym zespołem aktorskim.

I wybrał na rocznicę „Antygonę”, jeden z najklasycystycznych archetypów światowej dramaturgii. Sofokles żyjący w V wieku przed naszą erą, wynalazca „ironii tragicznej” napisał tekst o starciu dwóch nakazów: religijno-moralnego i prawno-politycznego. Nawiązywano do tej historii potem na dziesiątki sposobów.

*Na tle wykwintnych
francuskich paradoksów
Anouilha pierwotny, grecki
Kreon jest jeszcze dość
prostoduszny*

Wielu pisarzy brało temat na warsztat – na czele z Jeanem Anouilhem, który podczas II wojny światowej rozwinął w nowej sztuce wątek mechanizmów

władzy depczącej moralne nakazy, choć i świadomej bolesnego brzemienia własnego cynizmu. Na tle wykwintnych francuskich paradoksów Anouilha pierwotny, grecki Kreon jest jeszcze dość

prostoduszny. Zarazem może ta prostoduszność pozwala opowiedzieć całą historię właśnie najprościej – trochę na tym polega siła archetypu. Wszystko o tej sile świadczy – nawet piosenka Manaamu.

Zresztą akurat w Polsce wątek Antygony przywoływano w różnych kontekstach. Córka Kreona ginie z woli władcy, bo chce pogrzebać ciało brata. Uznawano, że to symbol jednego z podstawowych nakazów naszej cywilizacji. I przeciwstawiano tym krajom, kulturom i systemom, gdzie nie ma on znaczenia. Naznaczona grobami Polska musiała się Antygoną interesować szczególnie. Kiedy ostatnio na Łączce zidentyfikowano kolejne ludzkie szczątki, mój kolega córkę jednego z oficerów AK, dobijającą się od lat odnalezienia ojca, nazwał „współczesną Antygoną” – choć przecież tu nie było mowy o męczeństwie czy nawet ryzyku. Ale był upór aby wypełnić nakaz, zdawałoby się wcale nie podstawowy.

To wszystko razem wskazuje na potrzebę wracania do tamtej opowieści. I już za to jestem teatrowi Ateneum i reżyserce Agnieszce Korytkowskiej wdzięczny.

Zła czy tragiczna władza?

A co do reszty? Miałem ciekawą rozmowę z pewnym panem z kręgów teatralnych, który postawił temu przedstawieniu sporo zarzutów, czasem uzasadnionych, czasem – z mojej perspektywy – mniej. Zarzucił mu polityczną doraźność: świat teatru nie lubi obecnej władzy, więc Kreon musi być zły, bo symbolizuje arbitralność świata polityki. Ja co ciekawe, wyczulony na zbytnie naginanie przedstawień do

politycznych sympatii i antypatii (jest tego w obecnym teatrze sporo), aż tak tej „Antygony” nie odebrałem. Reżyserka chyba jednak nie poszła w załatwianie bieżących porachunków. Skojarzenia biorą się stąd, że dziś wszystko jest bieżącą polityką.

*Antygona odrzucająca ludzki
kompromis nawet z
wystraszoną siostrą Ismeną
wydaje się chwilami prawie
tak nieludzka jak Kreon*

Skądinąd ta dyskusja ma bogatą tradycję. W roku 1973 Adam Hanuszkiewicz wystawił „Antygonę” w Teatrze Narodowym (a właściwie Małym).

To najpiękniejsza inscenizacja tego dramatu, jaką widziałem, ale mocno nakierowana na racje Kreona, wyraziciela tragizmu decyzji nieuchronnych, nawet jeśli niepopularnych. Hanuszkiewicz lubił wtedy takie gry: romantyczny „Kordian” był u niego potwierdzeniem racji pragmatycznego starca Prezesa przeciw racjom rozwichrzonej młodości. W jego „Antygonie” też było coś z tego ducha. Niektórzy twierdzili, że po wygnaniu z Narodowego Dejmka, jego następcą Hanuszkiewicz prowadził w ten sposób grę z władzą czy wręcz się usprawiedliwiał. Ale może i tak myślał. Kreona, brutalnego, ale naznaczonego tragizmem, zagrał sam.

Z kolei w roku 1984 Andrzej Wajda wystawił w Teatrze Starym „Antygonę” można by rzec „przeciw Jaruzelskiemu”. Pokazał władzę wyobcowaną, butną, właściwie szaloną. Tyle że nie wszystko mu się domykało. Recenzenci wskazywali na to, że Antygona Ewy Kolasieńskiej

stawia się ponad światem zupełnie jak jej przeciwnik, zły władca. Ale nie domykało się wcześniej, tyle że w drugą stronę i Hanuszkiewiczowi. Młodziutka Anna Chodakowska była godną przeciwniczką jego samego.

To przecież bardzo prosta i jednocześnie bardzo wieloznaczna sztuka. Antygona odrzucająca ludzki kompromis nawet z wystraszoną siostrą Ismeną wydaje się chwilami prawie tak niehumanitarna jak Kreon. Ale może maksymalny wybór moralny wymaga takiego zerwania więzi ze światem? Może wręcz prowadzi do szaleństwa.

Ile z tego zostało w przedstawieniu Korytkowskiej? Dyrektor Ateneum Paweł Dangel mówił po premierze o różnych wątkach, które można by uznać za dominujące. Dramat polityczny, a może rodzinny? Jeden z aktorów dorzucił mi jeszcze jedną interpretację: feministyczną. Antygona jest w sztuce przywoływana jako kobieta do porządku przez świat mężczyzn. Może dlatego Paulina Gałązka wykonuje jako Antygona współczesne, nieco szaleńcze gesty buntowniczkę. Jest kontestatorką.

Ale nie jest to nachalne. W ostateczności wybór, o czym to jest bardziej, a o czym mniej, nie ma wielkiego sensu. „Antygonę” można też odczytywać na modłę konserwatywną. Przecież to wielka obrona prawa naturalnego przed prawniczym pozytywizmem.

Jednak potęga aktorstwa

Co się udało oddać tutaj? W zasadzie jest tu wszystkiego po trochu, można dyskutować, czy we właściwych proporcjach. Jako podstawę wybrano bardzo współczesniającą transkrypcję tekstu autorstwa Helmuta Kajzara, która posłużyła do wystawienia dramatu w Teatrze Powszechnym w Warszawie w roku 1982. Chwilami ten tekst szokuje odarciem z poezji, suchą relacyjnością. Inkrustowano go na końcu kawałkami klasyczniejszego przekładu Roberta Chodkowskiego, ale też trochę ściśnięto – chyba ze szkodą dla rozmachu, jaki pamiętam z poprzednich inscenizacji. Antygona, powtórzę, była godną protagonistką Kreona. Tu jest odrobinę zbyt zmarginalizowana, sprowadzona do kilku gestów.

Usłyszałem od mojego rozmówcy na premierze, i przeczytałem w pierwszych internetowych recenzjach, że to jest wystawiane w manierze „nowoczesności sprzed kilkudziesięciu lat”. Stąd oddzielenie części sceny szybą od publiki. Stąd powierzchownie współczesniające sztuczki (szminka, wino), czy ilustrowanie kolejnych tez specyficznym ruchem scenicznym (niepogrzebane ciało Polinika jako plastyczne narzędzie wyrażania emocji).

Może istotnie widać tu szwy pewnej manieryczności, ale wszystko to, znów powtórzę, nie jest natrętne. Mnie w każdym razie odbioru specjalnie nie zakłócało, może dlatego, że dobrzy aktorzy zawsze utorują sobie drogę pośród inscenizacyjnych meandrów. Zresztą zarzut: „to było nowoczesne 30 lat temu” z powodów metrykalnych rusza mnie średnio.

*Dobrzy aktorzy zawsze
utorują sobie drogę pośród
inscenizacyjnych meandrów*

Jeśli coś jest tu dla
mnie wadą, to
utrudnianie odbioru
nadmiarem efektów.
Siedziałem na skraju
pierwszego rzędu i

padłem ofiarą ustawienia po mojej stronie sceny aktora Wojciecha Brzezińskiego grającego proroka Tyrezjasza (czy Tejrezjasza), który mocno mi ograniczał widzenie całości, a już zwłaszcza obrazów na telebimie. Także szyba zawężyła pole naszego widzenia. W chwilach największego skupienia, aktorów zagłuszały inne odgłosy, a czasem muzyka (Michała Jacaszka, poprawna, wspierająca nastrój). Te chwilowe kakofonie to akurat błąd. Reżyser nie powinien zakłócać komunikatywności, „bo wizja”. Dbajcie o widza!

Nie zgadzam się jednak, że wszystko zostało tu zmienione w banał. Był nastrój, a kiedy na końcu 86-letnia Danuta Nagórna jako jedna z chóru powtarzała, wprost do widzów, wypowiedziany już monolog Antygony o samotnym umieraniu, było i wzruszenie. To zresztą wyjątkowo piękny pomysł: oddanie słowa końcowego starej aktorce, doświadczonej życiowo, jakby wbrew duchowi czasów.

Nie będę wydziwiał jak internetowi recenzenci z powodu jej nieplanowanego upadku na scenie, choć doszło do takiego zdarzenia. Raczej wyrażę troskę żeby dalej grała, bo ta kobieta poruszająca się o lasce pokonuje dzielnie podwójną trudność. A my dzięki niej na moment dostajemy ducha wspólnoty – ponad pokoleniowymi podziałami. Więcej: miałem nagle wrażenie jakby to przeszłość przemówiła do mnie. Przeszłość mądrzejsza niż my.

Pewien niedosyt związany z rolą Antygony był chyba związany z inscenizacyjnym założeniem. To dało przewagę twardemu Kreonowi. Przemysław Bluszcz przeżywa swój dobry aktorski okres. Nie miałem poczucia żeby narysował swoją postać, z przyklejonym do twarzy grymasem, jedną kreską. Choć poruszał się między różnymi tradycjami przedstawienia i osądzania tego archetypicznego bohatera.

Ktoś zauważył, że Adrian Zaremba, już doświadczony pomimo młodego wieku aktor filmowy, z epizodycznego, zwykle nieco mdłego Hajmona, syna Kreona, zrobił równorzędnego partnera dwojga głównych bohaterów. Owszem, w walce z ojcem jest przerysowany, chwilami niemal groteskowy (wspomniany już duch szaleństwa!), ale to znowu założenie reżyserki szukającej związku z naszymi emocjami. Mnie to nie przeszkadza. Nie szukam na siłę teatralnej jednorodności i nie będę narzekał, że mamy tu postaci „z różnych przedstawień”.

Każde z nich: Kreon, Antygona, Hajmon, Ismena (Katarzyna Ucherska), przedstawiło nam swoje racje, mając na to czasem pięć minut, czasem tylko dwie. Antygona – Gałazka najbardziej sugestywna była w obliczu śmierci, kiedy porównywała się z Niobe. Swój tragiczny tren świetnie wypowiedziała Eurydyka – Sylwia Zmitrowicz. Można narzekać na zbyt oschły język tekstu, ale kiedy przemawiała nim Maria Ciunelis jako Koryfeusz (nie wiem, dlaczego to kobieta, ale bez straty dla inscenizacji) wbijała nas w fotele (końcowa uwaga o braku miłości). Odczuwało się też intensywną obecność Brzezińskiego jako ślepego proroka.

Oddzielny wymiar miał końcowy krótki występ Nagórnej, ale i kolejne, czasem niepotrzebnie zagłuszane, monologi Henryka Łapińskiego jako Starca. I tu już wzruszenie czysto teatralne. 85-letni Łapiński to aktor Ateneum od zawsze, często grywający mniejsze role, ale taki bez którego nie byłoby dobrego teatru. To pięknie, że w rocznicowym przedstawieniu tak czysto, mocno podawał tekst. I że przypominał nam o teatralnej ciągłości.

Przy wszystkich inscenizacyjnych wątpliwościach i niedosytach powtórzę raz jeszcze: sięgnięto po archetyp w czasach, kiedy „wszystko już było”, i przywołano go całkiem przyzwoicie. Za to właśnie dziękuję. Archetypy czasem przebijają się przez zgiełk.